

Teatr dziwnie posmutniał

Rozmowa z Zofią Kucówną

— Co się stało, że od kilku lat rzadziej widzujemy panią na teatralnych scenach?

— Tak, to prawda. Ale to wcale nie znaczy, że nie pracuję. Pracuję, nawet bardzo dużo. Mam swoje własne miejsce, od 5 lat w muzeum Marii Dąbrowskiej. Ciągle wierzę, że zagram jeszcze coś interesującego w teatrze i dbam o moją zawodową kondycję. Chodzi o to, by głos ciągle pracował, by pamięć nie usypiała, by mieć nieustanny kontakt z widzem. Nie mówiąc już o niekorzystnej dla aktorki stronie psychi-

hamowania, kompleksy, brak wiary w siebie. Moim obowiązkiem jest pilnowanie, jak to niektórzy koledzy nazywają, warsztatu wypracowanego przez ponad 30 lat. Stąd „Dzienniki” Dąbrowskiej i „Maria Curie-Skłodowska” Michałowskiej na Freta i częste wyjazdy z występami po Polsce.

— Za „Dzienniki” otrzymała pani nagrodę.

— Na wniosek Muzeum Literatury w Warszawie, któremu wiele zawdzięczam, bo dyrektorka nie tylko przyjęła moją propozycję, ale jeszcze postarała się o to, by mnie za to co ro-

grali na fortepianie i recytowali poezję. W takich domowych warunkach występowała wielka Sarah Bernhardt, wielka Modrzejewska, Chopin, Wąderewski, że posłuże się nazwiskami najpiękniej śniącymi. Dlaczegoż by więc nie kontynuować i tej tradycji? Rozmawiałam niedawno z koleżanką, która uczestniczyła w takim domowym spektaklu. Rzecz się dzieje przy okrągłym stole. Wbrew temu, co dziś niesie znaczenie tych słów, był to spektakl poetycki, tyczył problemów egzystencjalnych, alternatywy: znaleźć dla siebie miejsce we własnym kraju, czy wyemigrować itd., itd. Wykorzystano teksty m.in. Brylla, Barańczaka, Rymkiewicza, Mrożka. Jest to taka sesyjka, w której myślę, że ta forma teatru, to znak czasu i być może sposób na wyjście z dzisiejszej maroty teatralnej i nudy. Kończy się XX wiek, a my wciąż drepczemy: Fredro, Zapolska. Teraz częściej bywam w teatrze jako widz i zdarza się, że się po prostu nudzę. A niech się wreszcie coś zakotłuje, zaszokuje mnie, zbulwersuje, oburzy nawet. To święta racja, że teatr jest odbiciem codzienności i jakie jest nasze życie, taki jest nasz teatr. Życie dziwnie posmutniało, i teatr posmutniał też. Nie winię teatru, ale pozwólmy ludziom działać, nie wyszydźmy ich inicjatyw. Im więcej się dzieje, tym lepiej. Ważne, by przełamać tę straszliwą nudę i robić coś, co ludzi obchodzi i dotyczy. Obecny czas sortuje ma-

ność jako wartość pozostaje niezmienna. Bo natura ludzka jest niezmienna.

— Co prezentowała pani Polonii w Stanach Zjednoczonych, będąc tam na tournée?

— To był krótki, miesięczny pobyt i głównie w Chicago. Pojechałam tam z dwoma spektaklami: a „Dziennikami” Dąbrowskiej i „Sublokatorka” Krallówny.

— Kiedyś powiedziała pani, że aktorstwo to zawód, który odbiera spokój i stwarza nieustające poczucie niebezpieczeństwa. W czym tkwi owo niebezpieczeństwo?

— W nieustającym sprawdzaniu siebie. I to z wiekiem narasta, albowiem świadomość staje się coraz większa, nerwy i odporność coraz słabsza, a jednocześnie wzrasta odpowiedzialność.

— Czy owo zagrożenie i poczucie niebezpieczeństwa w zawodzie aktorskim tyczy tylko kobiet, czy także mężczyzn? Słowem, czy status kobiety-aktorki i mężczyzny-aktora, to dwa różne statusy zawodowe?

— Jak najbardziej. Z korzyścią dla mężczyzny. Aktorka ma ogromne szanse zawodowe wtedy kiedy jest młoda. I jeśli nie zostaną one zrealizowane w tym czasie, później nigdy się to już nie stanie. Z roku na rok jej szanse maleją. Natomiast u mężczyzny z biegiem lat wzrastają. Mało tego, życie aktorskie mężczyzny w tym zawodzie jest o wiele dłuższe niż kobiety. Ponadto w życiu zawodowym każdej aktorki w pewnym momencie pojawia się okres ciszy, przerwa w granju. To jest czas kiedy nie jest już młoda, a jeszcze nie stara. Tak widzę moją obecną sytuację.

— A co dalej?

— Staram się realizować to





bię, nagrodzić. Finał był zatem sympatyczny, ale nikt nie wie jakie były początki. Każdorazowo, na odbycie przedstawienia prosiliśmy o pozwolenie Stołeczny Wydział Kultury. I do ostatnich godzin nie było wiadomo, czy nadejdzie zgoda czy nie, czy sprzedawać bilety, a jeśli nie, to jak zawiadomić publiczność że spotkanie nie odbędzie się. Czas były inne. Każda niekonwencjonalna impreza budziła nieufność. A dziś mamy nawet swoje miejsce w rubryce imprez w gazetach.

— Czy zgodzi się pani ze mną, że wchodzenie teatru do muzeum, zjawisko coraz bardziej powszechne w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, wynika z pobudek wcale nie najszybszych? Najczęściej jest to efekt braku zawodowej satysfakcji aktorów w macierzystym teatrze. Inaczej mówiąc, to wynik bezrobocia aktorów.

— Różnie to bywa. Często chodzi o konieczność wyładowania własnej energii w wymyślony przez siebie sposób. Nie mogąc zrobić tego u siebie w teatrze, szuka się miejsc poza nim. Różni wesołkowie podkpiwają sobie, że robimy teatrzyki w muzeach. Ale decyduje, jak zwykle, publiczność. Ja zaś uważam tę działalność za bardzo pozytywną. Ożywia się dzięki niej martwe muzea.

Aktorzy zawiązują się często w małe grupki, tworząc teatrzyki domowe. Ale nie zaczęło się to dzisiaj. Wystarczy przypomnieć wspaniały teatr domowy Mirosza Białoszewskiego na Tarczyńskiej.

— Wpłynęły na to okoliczności...

— Ale tradycja i początki takiego teatru biorą się z czasów jeszcze wcześniejszych, kiedy artystów zapraszało się do domów, na salony, gdzie

serwuje to na przykładzie choćby moich spotkań z publicznością. Czy to w muzeum Marii Curie-Skłodowskiej czy Dąbrowskiej. Może ludzie potrzebują dziś większej intymności, kameralności? Nie wiem. Ale jest inaczej, niż w latach 70-ych. O wiele chętniej dziś ludzie przychodzą do miejsc, które nie są zinstytucjonalizowane.

— Wygląda na to, że interesuje pani najbardziej literatura kobieca i, w ogóle, postać kobiety w literaturze.

— To prawda. Uważam, że rola kobiet w przetrwaniu naszego narodu, w jego najtrudniejszych chwilach jest przeogromna, a właściwie do tej pory nie została należycie podniesiona w literaturze. W pozostawianiu dla siebie tekstów przeżyłam XIX i XX wiek. Pamiętniki, dzienniki, diariusze. I zachwycałam się naszymi prababkami. Stwierdziłam jednocześnie, że pewne kanony wartościujące, stworzone przez kobiety w XIX w., są aktualne do dnia dzisiejszego.

— W życiu czy w literaturze?

— I w życiu i w literaturze. Zdziwiłam się, do jakiego stopnia wartości, które propagowała Felińska, Rodziewiczówna, Orzeszkowa, Wolska i inne, mniej znane panie, obowiązują do dnia dzisiejszego. Wbrew pozorom.

— Wiele się przecież zmieniło w mentalności, w obyczajowości. Nie istnieje już cały zestaw manier niegdyś obowiązujących.

— Ale sprawy dotyczące etyki, moralności, stosunku do drugiego człowieka, rodziny, a głównie pracy — te pryncypia jakby ciągle jeszcze mają wartość najwyższą, choć mocno w praktyce nadwątloną. Moralność jest wartością stałą. Wydaje mi się, że postęp moralny nie istnieje. Owszem, występują pewne wahania, raz jest gorzej, raz lepiej, to zależy od okoliczności zewnętrznych, ale moral-

wego, luksusowy hotel i status aktorki pracującej na stałym etacie z pełną opieką artystyczną. Tamten okres zakończył się. No, a teraz zaczęło się inne życie. To nie znaczy, że gorzej. Inne. Oczywiście, tamto było fantastyczne, wspaniałe, blizszczące w światłach reflektorów z nazwiskiem wielkimi literami pisanym na afiszach i z ogromnymi zdjęciami w gablotach. A mimo to, moje obecne życie jest bogatsze.

— Na pewno trudniejsze.

— Ale i bogatsze. Myślę, że w każdej sytuacji, w jakiejś chwili człowiek znajdzie, powinien wyszukiwać tej pozytywnej strony i nie pozwalać sobie na marudzenie. O! widzi pani, tu się odzywa we mnie i Orzeszkowa, i Rodziewiczówna, i wszystkie inne nasze prababki. Maltocentstwo odwraca się przeciwko sobie samemu. Obserwuję swoich rodziców, są to moje dwa najpiękniejsze uniwersytety życia. Ojciec ma 86 lat, matka 78. Od lat są na emeryturze, a w ich życiu nie ma ani chwili pustki. Umieją je sobie wypełnić pożytecznymi zajęciami. Myślę, że ta ich cudowna umiejętność życia bierze się stąd, iż właściwie nigdy zbyt wiele od świata nie oczekiwali. Chciałabym na stare lata być takim człowiekiem jak oni.

— Święta spędza pani z najbliższą rodziną?

— Z rodziną i przyjaciółmi we własnym domu. Z Matką i Ojcem natomiast w okresie poprzedzającym święta obcowaliśmy głównie przez telefon. To już się stało naszą tradycją — w związku z tym, że jestem z rodzicami pełne pół roku w okresie letnim, w zimie dajemy sobie od siebie urlop. Ale święta nie byłyby świętami gdybym parę razy w ciągu dnia wigilijnego nie zadzwoniła do nich, do Krakowa i nie poradziła się: mamo, czy do maku daje się biało, czy nie. Wiem, oczywiście, że daje się biało, ale te rozmowy stwarzają złudzenie, że święta przygotowujemy razem, stojąc obok siebie przy stole kuchennym. Moja matka często mawia: emancypacja emancypacją, ale nie należy się wstydzić, że umie się gotować dobry wigilijny barszcz lub pyszny sylwestrowy bigos.

Rozmawiała
TEMIDA STANKIEWICZ-
-PODHORECKA